wolnelektury.pl

Stefan Żeromski

Godzina

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STEFAN ŻEROMSKI

Godzina

Rozległy ogród, tarasami zstępujący ku rzece, która płynie za jego murem, pełen jest światła, wilgotnych cieniów i odoru wiosennej, skopanej ziemi. Jeszcze rosa obfita stoi na trawach. Lekki powiew odchyla młodociane, w srebrną barwę obleczone liście sokory. Klonowe tak przejrzyste, że wskroś nich widać słońce, listki wątłe, białawe, swawolne taplają się pieszczotliwie w błękitnych wietrzykach. Gędźba ptaków, dysząca zachwytem i namiętnościami, wyrywa się z powszechnego chorału pszczół, co jak głęboki a niepewny ton organów unosi się między drzewami. Świetliste muchy z brzękiem co chwila lecą to tu, to tam, na podobieństwo pyłów przetrącając szerokie, wytężone, sino-złote struny słońca. Niespokojne cienie liści wałęsają się po mokrej ziemi.

Z miejsca, gdzie na kamiennej ławce, przy pniu wielkiej brzozy siedzi młodzieniec, słychać śpiew sierot, parami idących pod okiem szarytki, siostry Marty. Śpiew oddala się i ginie za gajem krzewów. W tamtej stronie widać fronton kilkopiętrowego szpitala. Niektóre jego okna są otwarte — i czarne głębie bolesnych sal patrzą z nich w ogród — inne do połowy osłonione firankami.

SIOSTRA
zbliżając się do ławki:
Nie był pan wczoraj w kościele...

MŁODZIENIEC
dźwiga głowę, którą trzymał opartą na prawej ręce. Lewa, grubym bandażem z waty i gazy owinięta, spoczywa w temblaku.
W istocie, nie byłem wczoraj...

SIOSTRA
idąc dalej:
To bardzo źle! Dziś operacja, a pan tak lekceważy...

MŁODZIENIEC
z uśmiechem:
Jesteśmy w kościele...

Siostra spogląda na niego z wyrzutem, odchodzi i za kępami bzu znika w ulicy. W tym samym czasie z jednego okna wylatuje spazmatyczny krzyk — a potem kipi gwar głosów męskich. Wnet wszystko ucicha... Słychać tylko szmer wiatru, przesypujący się srebrzyście pomiędzy mnóstwem zwieszonych gałęzi płaczącej brzozy.

Z odległych cieniów ogrodu ku zacisznym trawnikom liliowe kępy rozkwitłego bzu, wysrebrzające szczyty krzewów, spływają niewyczerpaną falą, jak gdyby pieśń cudnego głosu. Narcyzy mokre od rosy wyziewają zapach swój przeciągły i jadowity. Trawa, usiana mnóstwem złocieni polnych z żółtymi oczyma, w słońcu mieni się i kurzy.

SIOSTRA
nadchodząc.
Żona starego dróżnika z trzeciej sali zbudziła się podczas operacji... Jeszcze przed panem trzy osoby będą na stole.

MŁODZIENIEC
Mamy czas.

SIOSTRA
Trzeba go dobrze użyć.

MŁODZIENIEC
Staram się, ile możności.

SIOSTRA
siada na brzegu ławki.
I o czym pan myśli?

MŁODZIENIEC
Myślę, siostro... Myślę o pewnym psie, nikczemnym na pierwszy rzut oka, który jednak najbardziej godnie nosił imię Orestesa.

SIOSTRA
Zawsze o tym psie! Czemuż go pan zostawił, jadąc do nas?

MŁODZIENIEC
Nie mogłem... Obiecywano zająć się nim troskliwie w miejscu mego pobytu z tamtej strony Wisły. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, przywiązany był mocno do budy, ale przegryzł postronek i dogonił furmankę. Daremnie go odpędzano. Warował na ziemi, znosił bez skomlenia razy i kopnięcia nogą. Przybyliśmy do komory celnej. Po załatwieniu formalności wstąpiłem w czółno, żeby się przeprawić na drugą stronę Wisły. Psa zostawiłem. Zdawało się, że wróci za końmi, które mnie do granicy odwiozły. Zdawało się, że... Nie mogłem wziąć go ze sobą! Tak, nie mogłem. Byłem w takim położeniu, że nie mogłem, aczkolwiek stanowił, oprócz duszy, jedyny mój majątek. Łódź, zsuniętą z ławicy piasku, pochwycił nurt rzeki. Orestes siedział przez czas pewien na tym samym miejscu, zapewne oniemiały aż do furii na widok zdrady, którą miał przed oczyma. Począł szarpać ziemię pazurami, miotając ją za siebie, i wściekle wyć. W pewnej chwili skoczył na prawo i co sił, co sił, co sił, co tchu w płucach gnał, sądząc, że okrąży szeroką wodę. Straciłem go z oczu. Byłem na środku, gdym go ujrzał znowu. Zdawałoby się, że tylko rozjuszony jastrząb może tak lecieć po samej ziemi, na skrzydłach, migając się wśród krzaków dla chwycenia w szpony przepiórki. Zdawałoby się, że tylko głodny lis mógłby tak ścigać rannego królika. Tymczasem on za miłością swoją... Byliśmy pod przeciwległym brzegiem, gdy wrócił na miejsce, z którego łódź odeszła. Stał tam przez chwilę milczący, jakby skamieniał. Później jednym susem rzucił się w wodę z wysokiego brzegu. Widziałem i słyszałem, jak płynął, boleśnie szczekając. Prąd go znosił daleko. Daleko... Czarny łeb zanurzył się raz, zanurzył drugi raz, trzeci. Wreszcie znikł na zawsze pod pędzącymi falami.

SIOSTRA
Nie trzeba o tym myśleć. Czyż nie lepiej jest wspominać krewnych, przyjaciół, bliskich sercu?

MŁODZIENIEC
Nie mam ani jednej istoty ludzkiej, bliskiej sercu. Z krewnymi nic mnie nigdy nie łączyło, oprócz jakiegoś prawa ich nade mną, które ustawicznie musiałem rozłamywać i deptać. Żyłem zawsze wśród ludzi obcych i złych. Wyniosłem spośród nich tylko pamięć krzywd, zadanych dumie.

SIOSTRA
Zadanych pysze. Słyszałam ongi, na świecie, że dumy niepodobna skrzywdzić. Duma, mówiono mi, jest niedostępna, twarda i szlachetna, jak onyks, z którego wycinają kameje, trwające dziesiątki wieków. Dziś wiem, że człowiek, jeśli tylko zechce, nie może być skrzywdzony nigdy i przez nikogo. Nie może być skrzywdzony, kto ucieka spośród zła, okrążającego ziemię, i choćby raz jeden przyłoży spalone wargi do wód świętego zdroju pokory.

MŁODZIENIEC

Tak, zadanych pysze. Wyniosłem pamięć krzywd bardziej bolesnych, niż potrącenie kości drągiem żelaznym, bardziej trwałą od skutków zmiażdżenia dłoni przez podkute kopyto rumaka. Nauczyłem się długo, pracowicie, z mistrzostwem wyszlifowywać ostrze wzgardy, przeszywającej jak puginał, a w każdej chwili nieodzownej, jak sztylet, kiedy udajemy się w dzielnicę łotrów.

SIOSTRA

„Nie zabijaj!"

MŁODZIENIEC

Nie zabijaj! Czemuż stworzony jest orzeł, co czatuje na krzemiennym zamczysku swoim w szczycie łańcucha gór, orzeł, który śmieje się z jęku swych ofiar, pasie z rozkoszą oczy widokiem wnętrzności, pazurami wyrwanych, wdycha kurz krwi ciepłej i z okrzykiem szczęścia zabija?

SIOSTRA

Tak też mniema w sercu swym każdy, kto pana pokrzywdził.

MŁODZIENIEC

Tak mniema.

SIOSTRA

I tym sposobem rozszerza się dzielnica łotrów. A w jaki to sposób zepsuł pan swą rękę? Tego jeszcze nie słyszałam.

MŁODZIENIEC

Bawiąc na wsi, odbywałem w licznym towarzystwie konną przejażdżkę. Poniósł mnie narowny wierzchowiec i wysadził z siodła. Cofnąłem wprawdzie stopy ze strzemion, ale prawej ręki nie zdołałem wyrwać ze skrętów cugli rzemiennych, którym dokoła niej omotał dla zażycia z całej mocy wędzidła. Koń mnie wziął pod siebie i zdeptał. Żelaznymi hacelami nowej podkowy nastąpił mi na lewą dłoń i zmiażdżył jej drobne kości. Prowincjonalny chirurg wyjął niektóre z nich, inne, także zgruchotane, zestawił, ale niedobrze. Poczęły próchnieć. Ręka spuchła, otwarły się wrzody, wieczyste rany. *Z uśmiechem:* Tak już oto dwa lata żyję z tą moją towarzyszką. W nocy obok mnie leży, a za dnia dotrzymuje mi kroku. Jest ze mną, gdy się w minucie szczęśliwej uśmiechnę, czuwa nad lotem marzeń moich, skoro oczy przymykam. Czeka cierpliwie, do rana, do chwili przebudzenia, patrząc we mnie ołowianymi ślepiami, a kiedy dźwignę powieki, kładzie na nich płytę ucisku. Jak zła żona, którą twardy los skuł ze mną w przeklętą godzinę, pełna jest niezgruntowanej, przewrotnej zdrady i zemsty. Czeka, czeka zawsze, jakby ów orzeł skalny, na chwilę, kiedy będzie mogła utopić we mnie pazury.

SIOSTRA

Teraz się już skończy to wszystko.

MŁODZIENIEC

Tak jest, skończy się nareszcie. Nie wiadomo tylko, w jaki sposób. Ale o to mniejsza... Kilkakroć już chloroformowano mnie i zawsze z obawą, gdyż mam w sercu coś groźnego. Jeżeli odejmą rękę, rozstanę się z nią za godzinę. Iluż to mężnych na wojnie... A z drugiej strony — jeżelibym umarł...

SIOSTRA

WIĘC I TAKIE MYŚLI PIELĘGNOWAŁ PAN TUTAJ?

MŁODZIENIEC

I takie, siostro. Pragnąłem właśnie zapytać...

SIOSTRA

Proszę, proszę...

MŁODZIENIEC

Czy jest rzeczą możliwą, ażeby tego gatunku, co ja, człowiek ze wspólnej sali, był w razie śmierci pochowany na cmentarzu w miejscu wyjątkowym, mianowicie obok drzewa, obok pnia płaczącej brzozy? Czy uwzględnionoby taką „ostatnią wolę"?

SIOSTRA
Nie jestem pewna...

MŁODZIENIEC
To żądanie szalone, wiem o tym.

SIOSTRA
cicho.
Dlaczegóż obok drzewa?

MŁODZIENIEC
Nie chciałbym leżeć z nikim. To już na wieki... Nie chciałbym spać w murowanym sklepie, obok cegieł, ciosanych kamieni, stopionego metalu. Nie chciałbym, gnijąc, głową dotykać zeschłego wapna, które rzucała kielnia człowieka.

SIOSTRA
Wszystko jedno, gdzie spocznie strudzone ciało.

MŁODZIENIEC
Och, nie! Przenigdy! Przenigdy! Po śmierci tak samo jest, jak za życia. Wszystkim rządzi przypadek, szczęście, kaprys doli. Drzewa kochają człowieka daleko bardziej, niż on je kocha. Nie darmo wierzył dziki Słowianin, że drzewo jest święte, że w nim dusze bogów obierają sobie siedlisko. Święte dęby! Kochałem je od dzieciństwa w sposób dziki. Uwielbiałem stojące w zimach srogich, w szalonych nocnych wichurach, gdy wspaniała zamieć w lasach harcuje. Kochałem jesień, która krwawą barwą gniewu zaprawia liście buków, gardzących z wierzchołka gór czeredą świerkową. Całe noce wiosenne spędzałem samowtór z Orestesem na wędrówkach pieszych wskroś lasów. Nad jeziorami Szwajcarii... Któż potrafi wyrazić obcowania sam na sam ze wschodem słońca, pozdrowienia i pożegnania bratnie aż do tkliwości z chmurami i pierwszą burzą wiosny... Teraz jego już nie ma... Orestesa...

SIOSTRA
Kto nie chce kochać ludzi, musi kochać drzewa i psy.

MŁODZIENIEC
Tylko drzewa i psy wzajem miłują. Pies kochał mnie aż do śmierci, a drzewo jest osłodą żyjących i kocha zmarłych. Rodzony ojciec i rodzona matka we trzy doby po zgonie wyniosą z własnej woli za próg swego mieszkania jedyne i najmilsze dzieciątko. Pozwolą obcym chłopom rozbijać skibami cuchnącego gruntu główkę, która była największą rozkoszą ich oczu, jakiej człowiek doświadczyć może; zgodzą się na to, że samo zostanie w nocy, pośród wiatru i deszczu na odległym cmentarzysku wśród trupów, zakopane w ziemi; przyzwyczają się do myśli o zgniłej wodzie, która mu zgnoi ubranko, o wodzie, co ściekać będzie po bezsilnej, ostygłej piersi, — o glinie, co zalepi usteczka wonniejsze, niż pąk różany. Ukryją myśl swą przed widokiem jego oczu samotnych, rozwartych na wieczny czas.

Wtedy brzoza płacząca zaczyna szukać go pracowicie. Korzeniami czułymi, jak włókienka zmiądlonego lnu, któż wie? — może bardziej tkliwymi, niż palce matki, — namaca w ciemności i obejmie głowę bezsilną, opasze nagie żebra i szyjkę, o której ojciec zapomniał. Nićmi cienkimi, jak włosy, i dobrotliwymi, jak sen, dotykać będzie miejsc gnijących i najbardziej zbolałych. Ssaniem, może czulszym od pocałunku czystej ufności między matką i córką w chwili tajemnej wspomnienia narodzin, wchłonie w łono swe, pełne życia i świętych przemian, krew skostniałą u drzwi serca i ostatnie łzy źrenic.

O, siostro, siostro...

Chwiać się w wierzchołku lipowym, w kole rodzinnym gęstych rózg, które z miłością zrastają się jedne z drugimi. Najwcześniej witać, najpóźniej żegnać święte promienie i na ich ręku bez przeszkody wstępować między obłoki wolne, jak wiatr, nigdy do siebie wzajem niepodobne i wieczne. Mgłami nocnymi okrywać się, jak szatą, którą wśród rozkoszy i pieszczot z daleka nadchodzący poranek cicho zdejmuje. Gdy styczniowy wicher, niby tabory zbójeckich wojsk, uderzy w lasy, przywdziewać osędziały pancerz z lodu. Tęsknić do błogosławionych deszczów w spiekocie, a do niej w dzień pełen ciemności, wylęgłej

w duszy chmur. Uczuwać, jak obok, blisko przepływają wody podniebne, gdy ciche błonia lazuru spustoszy nawałnica, i dygotać z wielkiej bojaźni, skoro z kłębów burzy runą na ziemię kamienie gradu. Zanosić się od wzruszeń sekretnych na widok białego księżyca, kiedy niespodziewanie objaśni światło swoje, wstępując na wysokość spomiędzy nocnych obłoków. Ku pustyniom nieba wydzierać się z prochu tej ziemi i nawzajem przez niebo być wiekuiście objętym. Sprzymierzać się z nim, które jest najbardziej podobne do ducha ludzkiego, a jednak inne o nieskończoność, przybliżać się do czegoś, co jest bez początku i bez końca, do cudu nieomylnego światła i tajemnicy ciemności, towarzyszki przeszłych i przyszłych dni. Być uwolnionym na zawsze od istoty ziemskiego szczęścia i cierpienia, od widoku przemocy i dreszczów trwogi, od uczuwania w sobie dzikich żądz i nikczemnego dosytu.

SIOSTRA

Serce pańskie prosi się o modlitwę, a myśli nisko błądzą...

MŁODZIENIEC

Wczoraj byłem tu w nocy, po burzy. Nie zauważyła siostra, żem wyszedł. Co chwila trzaskał jeszcze piorun i ziemia pod nim drżała, jak łono dziewicze, pierwszy raz wydane wszechmocy miłosnej. Kasztany nasiąkły deszczem, a kwiaty ich przeraźliwym ogniem błyskawic. Za każdym strzałem, gdy rozstępowały się czarne niebiosa, ukazując morze ogniste, widać było wszystkie drzewa kasztanowe i wszystkie ich kwiaty wylękłe. Zdawało się, że na te konary i liście w owej chwili dopiero zstąpiły z niebios kwiaty, niby płomienne języki. Kiedy wszedłem pod sklepienia szerokiej ulicy, spadały na mnie od chwili do chwili nagłe gromady kropel, jak wybuchy łez wieczności, łez wszystkich nocy i dni od początku świata, zalewały mi twarz, wyciągnięte ręce, wzniesione oczy. Drzewa wtedy wzdychały z ciemności, ku mnie i ku niebu. Czułem głęboki ból, czy głębokie szczęście, ale nie moje własne, nie ułomne, nie ludzkie, lecz kwiatowe, listne, drzewne. Jak gdyby niewidzialny dajmonion unosił się dokoła mej głowy i strącał na moje czoło krople wody żywej, stwarzającej przemienienie.

Wracałem na salę po ciemku. Była już późna noc. W korytarzach wstrętny zaduch, otwarte drzwi do sal były czeluściami pełnymi łkań i westchnień. Przy świetle lampki, gdzieś w końcu błyszczącej, widziałem kubły z watą i gazą, oderwaną z ran, które zostawili znużeni posługacze!

SIOSTRA

Żal mi pana.

MŁODZIENIEC

Tego nie trzeba mówić nikomu. Ja lękam się czyjejkolwiek litości, jak choroby zakaźnej. Tępiłem w sobie z dawna tkliwą litość, a teraz w czwórnasób pracuję, żeby się zsychać w głębi, jak ścięte drzewo, żeby wszystkie wzruszenia z zewnątrz, od ludzi wychodzące, — morem wygubić. Wyglądam, kiedy w mej duszy wszystka głucha męczarnia zgaśnie, niby ognisko wśród dziewiczego lasu, zadeptane nogami, zalane przez niewiadomą mi przyszłą ulewę; kiedy nareszcie przestanę zwodzić walkę na całe bary, na całe piersi i wszystko serce, walkę Jakuba z Aniołem. Wtedy dopiero zbudzi się z martwych własne moje serce. Przeminą grube ciemności i wzejdzie pierwszy nów! Nie ukaże się wówczas nic już takiego na ziemi, coby mnie mogło przerazić. Nieszczęsny duch, który błądził po wyniosłych pagórkach, nie będzie już leżał bezwładny, jak dzika sarna ze skręconym karkiem i nogami, złamanymi w zuchwałych skokach, umierając w samotności, w uporze wiecznym, w głębi milczenia wystygłych gór, nad otchłanią.

SIOSTRA

Złe marzenie jest taką samą tyranią i rozpustą duszy, jak handel ludźmi, albo bicie dzieci przez dorosłych i silnych.

MŁODZIENIEC

Bicie dzieci przez dorosłych i silnych... Tak! tak! Opowiem...

Największą katuszę sprawia nie ciężar jarzma, lecz widok, jak je ktoś dźwiga. Ten widok w sobie zniszczyć, ten widok, który zatruł sobą żyły i kości, napełnił piersi i czaszkę, stał się czymś nieodłącznym, jak chore płuca, i przemienił się w serce. Cóż jest noszenie

jarzma? Chrystus niósł na barkach krzyż swój, mówiąc: „Nie nade mną płaczcie, lecz nad sobą i nad dziećmi waszymi". A ci, co nad Nim płakali, ciągnęli w trudzie jarzma swoje. Jakże świętymi są te słowa idącego na śmierć! Spojenia jarzma można rozerwać jednej chwili, ale widok Chrystusa dźwigającego swój własny krzyż na górę Kalwarii...

Wyłuszczę teraz sprawę najbardziej istotną, którą widziałem za krótkich dni mego życia. Onego czasu szedłem chodnikiem wielkiej stolicy. Byłem po miejsku obumarły, niosłem w sobie serce bez horyzontu, bez wschodu i zachodu, bez obrazu nieba, podobne do drzewa skarlałego w miejskim dziedzińcu. Tłumy biegły w jedną i drugą stronę; lśniące pojazdy mknęły z szybkością. Mijałem wspaniałe wystawy sklepów i poprzeczne ulice z tym samym znieczuleniem, co ludzi biegnących. Aż oto w sąsiedztwie pewnej bramy zwróciło moją uwagę zbiegowisko. Stróż domu trzymał coś ciekawego. Kiedy, rozsunąwszy koło widzów, stanąłem u rdzenia sprawy, ujrzałem siedmioletnią dziewczynkę, która niosła na ręku dziesięciomiesięcznego chłopczyka. Włosy jej były czesane przed wieloma laty, bo coś w rodzaju warkoczów pozlepiało się w tłuste kołtuny; łachman, którym była okręcona wzorem piastunek, rozłaził się na plecach, ukazując łopatki, wytężone od ciężaru. Spódnica była w strzępach, nogi bose... Pierwsze, prędko uskutecznione badanie i zeznania świadków okazały, że to jakaś wyrodna matka przysłała dwoje swych dzieci, aby budziły obrzydzenie, oraz litość widokiem nędzy i żebrały. Ale szczwana już w swym rzemiośle dziewucha nie chciała wymienić adresu matki tak występnej.

SIOSTRA

Matki tak występnej...

MŁODZIENIEC

Prowadzono ją tedy w celu powzięcia bliższych wyjaśnień. Dla zabicia czasu szedłem i ja wraz z grupą ciekawych. Szliśmy bardzo długo, rozlicznymi ulicami, to też orszak zeszczuplał wkrótce do liczby paru osób. Jakiś emeryt, jakaś dewotka w niemodnej salopie... Stróż mocno trzymał pauperzycę za kark w przewidywaniu ucieczki. Ten i ów z obywateli przystanął na chodniku, obejrzał gromadkę i szedł dalej. Tkliwsze osoby pytały o coś, ale, nie otrzymawszy odpowiedzi, z westchnieniem szły dalej. Było to w marcu, padał śnieg okrągłymi grudkami na rdzawe błoto, wiał z ulic srogi wiatr. Idąc krokiem ospałym człowieka-obywatela, miałem przed oczyma zaniedbane dziecko, zepsute już tak dalece, że musiało być tresowanym wspólnikiem występku. Pieniądze, miedziane wyrazy świętej litości, chwytało sprawnym, niewolniczym ruchem wyćwiczonej małpy. Stopy tej łotrzycy nie unosiły się wcale ze wspaniałego chodnika, lecz zdzierały jego chropowatość podeszwami prędko, prędko, prędko. Były to nogi czerwone, chude, śmieszne, jak skoki zająca, a wykrzywione w stopach od siebie, jak u jamników. Posuwanie się brzegiem trotuaru, zbudowanego dla ludzi ucywilizowanych, tego brudu sprawiało efekt jadowitych ukąszeń, zostawiało w uszach, w ramionach, na piersiach, w stopach i w całym ciele pewien rodzaj zadzierzystych żądeł. Ciężar małego chłopaka, który siedział na lewej ręce siostry, przywiązany szmaciskiem na cały dzień, wykrzywiał korpus jej ciała. Czerwona ręka niemowlęcia kurczowym ruchem trzymała się za szyję dziewczyny. Była to prawica, uzbrojona w palce, które już umiały trzymać się mocno życia całymi godzinami, bez ruchu, szemrania i wytchnienia. Była to ręka dziesięciomiesięcznego człowieka, który już wdział ludzkie jarzmo. Głowa jego zwracała się w naszą stronę, w stronę czułych widzów. Gołe łopatki, wzdrygające się co chwila wskutek podrzucania ciężaru, nogi, odsłonione aż do bioder, chłostał wiatr i smagał bat śniegu. Szliśmy coraz prędzej.

Na pytania, czemu wzbrania się opisać ulicę i lokal swej matki, badana w urzędzie świadczyła, że tego nie powie, bo ją za takie rzeczy biją w domu „po mordzie". Wobec tego...

SIOSTRA

schyla się ku ziemi i, przycisnąwszy ręce do piersi, mówi szeptem.

Boże, bądź miłościw nam grzesznym...

MŁODZIENIEC

Złe marzenia są tyranią i rozpustą duszy! Oto jest dobre marzenie: bez sił, na darmo, w paroksyzmie myśleć o dniach i pracach tych dwojga; myśleć o ich przebudzeniach ze snu i o pierwszym spojrzeniu na okalające mury; myśleć o ich snach, którymi chłodny

mrok zasłania to życie, kiedy się kończy dzień. Myśleć o matce ich! Widzieć twarz tej najbardziej występnej, oczy szelmy, zamazane łzami, kadłub, ociekający śluzem chorób, suche, w głupich pracach oszalałe ręce. Pozwalać, żeby, nie otwierając drzwi, wchodziły do naszego domu te przywidzenia, żeby deptały nasz sen szelestem chorych nóg po wspaniałym chodniku... Zezwolić, żeby w spazmach boleści rzucały się do naszych nóg, wołając o ratunek, żeby kamieniały przed naszą duszą te ciężkie, bezsilne, okrutne głowy i waliły się na jej piersi, jak marmury grobowe.

SIOSTRA

podnosząc ku niemu oczy.

Kruk opuszcza dzieci swe i odlata. Bóg im wtedy strawę gotuje, tułającym się po gnieździe tam i sam, gdy matka ich, w dalekich polach zabita, nie wraca. Z gnoju ich gniazda rodzą się motyle, przylatują na skrzydłach aż do ich dziobów otwartych i za pokarm im służą.

Wstaje, odchodzi i znika na zakręcie uliczki.

Młodzieniec, gdy sam został, zapomina o rozmowie, która się toczyła, jakby w niej uczestniczył przed piętnastoma laty. Głowa jego znowu zwisła na dłoń zdrowej ręki. Dokładne wyobrażenie o tym, co się ma odbyć za chwilę, płuca, zda się, z piersi mu wyrwało. Lodowaty dech owionął twarz i posępny dreszcz uderzył go w ciemię czaszki.

Z wolna i ta świadomość ciągnącego momentu minęła. Szło wspomnienie. Błędne wspomnienie. Niby rozwiewne i upuszczone skrzydła chmur, co śladem burzy ciągną się bez sił przez leśne gąszcze na reglach, płynęła dusza, znękana wśród dzikiej wichury. Płynęła bez wiedzy i sił do okolicy bardzo dalekiej.

Oto idzie sam w łąkach rozległych. Z prawej strony ma nizinę przyrzeczną, z lewej suche, wzniesione niwy. Zwilgła ziemia kwiecistego smugu ugina się pod nogą. Tu i owdzie zdąża przez ścieżkę szlak mrówczy, który zapewne istniał już wówczas, gdy ta wydeptana dróżka łączyła ludzi, czczących przed wieloma wiekami święte dęby na wzgórzach, gdzie teraz chwieje się zboże. Jedyną, bardzo uderzającą w oczy nowością jest w tym miejscu brunatne, świeżo wyrzucone kretowisko. Naokół ścielą się wilgotne trawy, jedne ostre, jak żywe noże, inne tak misterne, wątłe i wyzute ze znamion siły, jak kaprysy cierpienia. Zbryzgane pienistą, ostrą żółcią dzwonków, puszyste od liliowej babki, powleczone rdzawymi kępy smółek i centurii, albo rzekami koniczyny — wyrywają z piersi zmarłe westchnienia. Spływa przed oczy mnóstwo kwiatuszków bezimiennych, bladożółtych albo naiwnie błękitnych, jakby je chłop wymyślił. Tu i owdzie stoją na pustych łodygach, które, podobno, zdradliwy sok zawierają, puszki, ulatujące z najlżejszym wiatrem, jak gdyby szczęście człowieka. Gdzie indziej tkwią na samej ścieżce źdźbła zboża, wyrosłe z ziarn, zgubionych przez rękę siewcy, które, choć padły w środku drogi, nie zostały zdeptane przez idących.

Z lewej strony kołysze się łan żyta. Ledwie się wykłosiło i barwę liliowej stali przybrało w upałach. Kłosy stoją jeszcze ku górze, obwieszone mnóstwem kwiatu. Słychać tylko świergolenie skowronków i gdzieś daleko, daleko na pylnej, piaszczystej drodze turkot rozeschniętego woza. Z martwych wzgórków, jakby dymem owianych przez mietlicę, spomiędzy drzewin kaliny i wilczego łyka, gdzie między zielenią szczerzą się ku słońcu stosy głazów, wyrzuconych z roli, płynie woń ziół, niosąca w sobie całe dnie, tygodnie, miesiące, lata młodości... Wzgardzony oset opala tam w słońcu kwiaty o barwie zorzy porannej, która, zlitowawszy się nad jego niedolą, zostawiła w nim odbicie swoje. Kolczasta gałąź dzikiej jeżyny mokra od rosy, obciążona czarnym owocem, wysuwa się z gąszczów, niby drapieżna ręka, czyhająca na młode życie...

Zwiał wiatr z dalekiej strony tę samotnię, ukazał najlichszy szczegół, sennie spoczywający w przezroczystym oddaleniu.

Ta ścieżka prowadziła do miejsc miłości, do samotnych kwiatów między dzikimi krzewami, które obwijał leśny chmiel. Na mgnienie oka wrócił się z przeszłości wszystek kształt życia bez wczoraj i bez jutra, zawisł, bujając się, niby błękitny motyl nad łanem. Ukazały się oczy, płonące od uczuć pod arkadami brwi, jakoby ognie święte u ołtarza bóstwa. Wróciła się nieskończoność wzruszenia, zachwyt, co leży na sercu, a nie da się

wymówić, wyśpiewać, ani wyjęczeć. Stanęło słońce, tamten wiatr jeszcze raz ucałował rozżarzone usta — kwiatu łąk i ciche zboża wstrzymały żywot swój, żeby serce mogło odetchnąć powietrzem jutrzni życia i napić się z tego źródła wieczności. Ale nim jeden moment upłynął, zadrżała w sercu psalmodia wiatru bieżącej godziny. Ozwał się w szumie liści jak gdyby głos ukryty, głos złego dnia, który nadszedł. I cały świat szczęścia zdruzgotany został przez senny jego szmer.

Gdzież się podziało szczęście, gdzież się podziało?

W cóż się obróciło zaczarowanie jednej istoty w drugą istotę?

Gdzież są słowa wyznań, gdzież są te prawdy czyste i proste, na które czekała wieczność? Gdzież się podziały uśmiechy i westchnienia wznioślejsze, niż słońce, księżyc i gwiazdy? Jakimże sposobem przestało istnieć to, co było bardziej rzeczywiste, niż trwałość gleby, morza i gór, bardziej ważne, niż byt wszystkiego, co jest do końca świata?

Jakby odpowiedź wzniosły się z głębi ducha wyziewy grobu. Towarzystwo zdruzgotanej ręki i żal wstrząsający raz za razem, napełnił ciało. Młodzieniec przytulił do siebie rękę, którą miał stracić za chwilę, i drżącymi wargami szeptał do niej puste dźwięki miłosne, wyzute z dawnego znaczenia. Oczy, zapuszczone w czarną ziemię, ujrzały dzieło straszliwe, którego świętokradzko dotknęły się były lekkie i strojne słowa. W dalekim podglebiu taiła się sprawa, krew lodem ścinająca. Korzenie wzdęte od żywych, pulsujących soków, ruchliwe białe nici miękko obejmowały w dziedzińcu śmierci zgniłą głowę tego, co zasnął.

A na ten widok wszystka władza opuszcza ręce i głowę. Bezsilne palce próżnię dokoła siebie znalazły, zamiast podpory. Na ciemię głowy zwalił się ciężar skał. Przed oczy falami spłynęła i osiadła sfera mroku i wśród boleści przelatującej dzień cofnął od nich z wolna wylękłą swoją białość. Wyszły z łona ciemności nieprzeliczone szeregi krzyżów żółtych o równym ramieniu i przestrzeń napełniły. Myśli rozpierzchły się, upadły i obróciły w proch. Wtedy zetknęła się z czołem, z ustami i piersią wiadomość, krócej trwająca, niż jeden jęk, o czymś innym, innym nad wszelkie ludzkie wyrazy, o łonie chmury płynącej, o zdarzeniu, co za chwilę przez jeden błysk źrenicy trwać będzie. Krew żył runie w bramę zdradziecko zatrzaśniętą i bezwładne serce zwali się i zgruchoce pod jej naciskiem, jak dom, zepchnięty z przyciesi i wyważony z węgłów przez trzęsienie ziemi. Pękną żyły ze zgrzytem, jakoby szyny z żelaza i świszczącymi ruchy polecą dokądś rozszarpane naczynia. W tym rozbiciu i końcu świata z najeżonymi włosami, z oczyma, rozłamującymi orbity swoje, on, sam jeden, z wrzaskiem, który więdnie na wargach, zerwie się, żeby iść!

Dźwigając na piersiach łańcuch gór, wyciągniętymi rękoma szukać będzie ręki swego żywota...

Na chwilę wzmógł się.

Przytulił twarz do pnia brzozy i objął go lewą ręką. Zagasłe oczy szukały...

Ostatnie, samotne ich spojrzenie przywarło do wątłych liści. Młode liście zasepleniły, drgnęły młode konary — i tajemnicze westchnienie spłynęło, jak ciężka łza z wiszących gałęzi.

Ale co wyrzekły w mowie swej, co wyrzekły...

Wówczas tak się stało, jakby ktoś z trudem nadchodził w udręczeniu, w pośpiechu, nie mając chwili jednej na przełknięcie śliny. A z twarzy istoty tej nie można było rozpoznać, tylko niejaki jej obraz snuł się przed źrenicami. Młodzieniec słyszał szorstki szelest nóg bosych, prędko, raz za razem sunących po kamiennym chodniku. Wytężywszy wzrok w głąb siebie, ujrzał z mozołem siedmioletnią dziewczynę w szmacisku rozdartym na plecach, która dźwigała na lewej ręce małe, śmierdzące dziecko. Rączka jego czerwona nieruchomo trzymała się za szyję siostry. Oczy dwojga marzydeł wytężone i rozwarte stanęły przed nim, świecąc się pośród ciemności, jak płomienie gromnic.

SIOSTRA MARTA
ukazuje się na zakręcie uliczki. Szybko nadchodząc, mówi.
Już czas! Czekają...

MŁODZIENIEC
wstaje z ławki.
Nareszcie.

SIOSTRA
Niech pan tylko będzie dobrej myśli...

MŁODZIENIEC
Jestem dobrej myśli.

SIOSTRA
Jutro będziemy się wspólnie wyśmiewać z bieżącej godziny.

MŁODZIENIEC
O tak, tak... Gdyby jednakże... Czynię cię, siostro, wykonawczynią mego testamentu.

SIOSTRA
idąc tuż za nim, mówi z cicha.
„Wzywaj mnie w dzień utrapienia..."

MŁODZIENIEC
Czuję w sobie wczorajszą siłę.

SIOSTRA
Wczorajszą...

MŁODZIENIEC
Nie mogę tego wyrazić słowami... Wcale nie wiem, co to jest i jak się nazywa. Może to spokój, może męstwo, może wielka minuta bohaterów, a może niski, niewolniczy upadek twarzą na ziemię...

Siostra zatrzymuje się we drzwiach szpitala.

Młodzieniec wstąpił na schody ciasne, wydeptane schody z cegły, kręto idące w górę.

Uśmiech wesoły, wyniosły, wspaniały, pański zakwita na jego wargach. Oczy przymrużone i zasłane łzami nie widzą nikogo, oprócz widziadła dziewczynki z chłopcem na ręku, która przed nim szybko biegnie, szeleszcząc bosymi nogami. W głębi korytarza, którego ściany gną się i chwieją, otwarto drzwi. Staje w nich jeden z asystentów w białym fartuchu.

Młodzieniec wchodzi na salę, zgrabnym i wytwornym ukłonem witając profesora i lekarzy zebranych dokoła operacyjnego stołu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zeromski-godzina

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Godzina w: Utwory epickie Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia państwa polskiego: Powieść o udałym Walgierzu, Aryman mści się, Godzina, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-1043-3

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.